

# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



## UCZONE LWY.

Od najdawniejszych czasów ludzie mieli upodobanie do popisów z dzikimi zwierzętami i do ujarzmiania ich krwawych instynktów, używali różnych sposobów jako to: głodu, pragnienia, ognia lub bata. Znane jednak podanie o Androklesie i jego lwie świadczy, że zdawna już starano

się również dobrocią i łagodnością przewycięzać dzikie popędy najokrutniejszych zwierząt.

Znamy liczniejsze przykłady osławiania lwa, tego króla pustyni, niżeli jego pobratymca, tygrysa. Pierwszy posiadał rzadki, mianowicie u drapieżnych zwierząt, rodzaj



wdzięczności i pamięci za otrzymane dobrodziejstwa, oraz pewną zdolność przywiązania się do człowieka.

Wielką umiejętnością obchodzenia się ze lwem słynie obecnie panna Klara Heliot, dająca w większych miastach europejskich przedstawienia z dziewięciu lwami, które sama od małego wychowała, nabywszy je w zoologicznym ogrodzie w Lipsku poświęca się temu zadaniu z nadzwyczajnem zamiłowaniem. Cierpliwością, wytrwałością i spokojem, potrafiła przywiązać do siebie zwierzęta i uczynić je posłusznymi swej woli.

Przez półtora roku z wytrwałością niezrównaną uczyła lwy sztuk, które dziś wykonują ze zręcznością, budzącą podziw ogólny, posłuszne, jak psy, każdemu skinieniu swej pani.

Wszedłszy na arenę, zwierzęta siadają na wyznaczonych sobie miejscach, z oczyma wlepionymi w pannę Heliot, której drobna postawa dziwnie odbija od tych potężnych królów pustyni. Służący wnoszą stołki, na których zasiadają poważnie lwy, a przez nie przeskakują dwa dogi. Następnie najlepiej wytresowany Lew „Sasza” wskakuje na walec okrągły w kształcie koła i niby zwinny pudel toczy go naprzód i w tył po arenie. Inny młody Lew posuwa ów krąg, przebijając tylko przednimi łapami. Potem dwa lwy zabawiają publiczność huśtając się na huśtawce. Dalej — nie do uwierzenia! — lwy naksztali skoczków na linie popisują się, chodząc po rzemieniu 15 centymetrów szerokim, lubo przy tej sztuce zwierzęta wielki objawiają niepokój. Następuje grupa malownicza: dwa lwy wspinają się jeden za drugim a panna Heliot ulubieńca swego Saszę obejmuje za kark. Po tych zręcznie dokonanych popisach należy się zwierzętom nagroda: służba wnosi stół i stawia dokoła krzesła. Lwy objawiają wielką radość a jeden z nich, nie mogąc pohamować wesołości swojej, wskakuje nieproszony na stół, ale surowy głos jego pani przywołuje go do porządku. Na komendę dopiero lwy obsiadają stół, przy którym pierwsze miejsce zajmuje panna Heliot. Spoglądając na puste talerze, lwy czekają cierpliwie, aż ich pani rozdzieli między nich kawałki pokrajanego mięsa, wydobyte z szuflady od stolika, przyczem uczestnicy biesiady muszą się grzecznie zachowywać, a jeśli który dopomina się zbyt natrętnie, lub ściągnie sąsiadowi jego porcję z talerza, panna Heliot karci go za to klapsami po łapach.

Po wieczery wypada odpocząć; cztery lwy kładą się jeden obok drugiego na ziemi, tworząc w ten sposób wygodne dla swej pani łożo.

Przedstawienie kończy się przebieganiem wszystkich lwów po podwójnej drabinie; na szczycie staje jeden z dogów i pod nim czołgają się królowie pustyni.

Na dany znak ośm lwów wybiega z areny; jeden tylko potężny Sasza nie słucha rozkazu; obwachuje swoją panią, mruży, bije groźnie ogonem, tak, że widzów strach przejmuje a jedynie uśmiech na twarzy panny Heliot dodaje publiczności odwagi.

— Nie chcesz być posłusznym — mówi śmiała poskromicielka — kiedy tak, to sama zaniosę cię do klatki. Pochyla się, bierze lwa na barki i wynosi wśród grzmiących oklasków, pieszcząc ręką swego ulubieńca, którego pozorny opór jest z góry ułożoną sztuką.

Zachodzi tylko obawa, czy panna Heliot nie przypłaci kiedy zbytnej śmiałości swojej, gdy drapieżne instynkta odezwą się w zwierzętach, objawiających dziś uległość i przywiązanie tej, która łagodnem obejściem umiała je przyswoić.

P. Gr.

# PANICZYK

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— I prawdopodobnie będziesz. Jutro gdy kobieta wytrzeźwieje, łatwo będzie można z nią przyjść do porozumienia, a jeżeli będziemy widziały, że chłopcu krzywda się dzieje, zabierzemy go do siebie.

— Kiedy nie wiemy, gdzie ta kobieta mieszka?

— Łatwo się dopytamy, Budy Chrustowskie to nie Warszawa! — odrzekła matka.

Na wspomnienie Warszawy dziewczynka zamilkła i myśl jej zwróciła się za bratem,

Westchnęła więc tylko.

Westchnęła i matka.

I jej myśl podążyła zapewne za synem. Obiedwie więc i matka i córka, zajęte swemi myślami, w milczeniu podążyły do domu. A księżyc jasny, pogodny, wypłynął srebrnym rogiem na pogodne niebo i błyszczał białem światłem wśród złotych gwiazd, patrzących miliardami światów na wielkie mrowisko ludzi, krzątających się około codziennych trosk i radości, lub układających się na spoczynek, by zapomnieć o bólach i troskach, snuć dalej radości lub ukoić miotający sercami niepokój.

— Jutro o tej porze będziemy miały już telegram od tatusia, prawda mam? — ozwała się Hania, wchodząc na werendę, gdzie Ner witał ją skowyczeniem radosnem.

— Zapewne — odrzekła matka. — Zwłaszcza jeżeli Józio zda dobrze egzamin — dodała.

## II.

### Egzamin.

Pan Chrustowski, zapisawszy syna już oddawna jako kandydata do klasy trzeciej, zaraz po otrzymaniu telegramu od jednego z przyjaciół o wyznaczonym dniu na egzamin, stawiał się niezwłocznie.

Zaraz też na drugi dzień wczesnym rankiem wyszli z hotelu.

— Jest to bardzo ważny dzień w twojem życiu, ważniejszy go od modlitwy! — rzekł pan Chrustowski do syna. Z tą myślą wstąpili do najbliższego kościoła.

Po wyjściu Józio rozglądał się z ciekawością dokoła. Pierwszy raz był w Warszawie, mimo więc trwogi i niepokoju, jakimi go przejmowała myśl o egzaminie, bawiło go i zajmowało miasto.

— Gdyby kto nawet nie wiedział, gdzie się znajduje gmach szkolny, łatwo by trafił — rzekł ojciec, wskazując na śpieszących chłopców różnego wieku.

I zaraz dodał:

— Będziesz miał dużo kolegów.

Józio odetchnął, bo nie wiedzieć dla czego ścisnęło go coś w gardle. Zresztą, miał zwyczaj chrząkania, ilekroć był czemś zakłopotany.

— Przecież nie wszyscy będą zdawali do trzeciej! — rzekł po chwili.

— A może — odparł ojciec z uśmiechem.

— Tacy malcy! O, o, niech tatuś patrzy, jaki ten maleńki, ten, co tam idzie z tą panią! ledwie go znać przy ziemi!

Rzeczywiście, wśród całego tłumu ciągnących chłopców, byli tacy maleńcy, że jak się Józio wyraził, ledwie ich znać było przy ziemi.



Im zaś więcej zbliżano się do gmachu szkolnego, tem więcej spotykano chłopców z wystraszoną miną, bladych lub zbyt czerwienionych. Patrzyli szeroko rozwartymi oczami, lub rzucali dokoła niepewne, wystraszone spojrzenia.

— Ja myślałem, że będziemy pierwsi, a tu tak dużo ludzi! — szepnął Józio do ojca, wchodząc na korytarz szkolny.

W przedsionku, na schodach, na korytarzach czekało mnóstwo osób. Jakaś pani z nadzwyczajną grzecznością wypytывała o coś woźnego, który dlatego, że nosił mundur, czuł się tak — wzdychanie wyższym od cisnących się do przybytku, w którym on drzwi otwierał i podawał papiery, iż zaledwie raczył jej odpowiadać!

Tam jakiś ojciec uspokajał drżącego ze strachu syna. Błada kobieta w żałobie, trzymając nerwowo za rękę również bladego chłopczynę, prosiła o ustąpienie choćby odrobiny miejsca, bo ze znużenia, a może i wzruszenia, omdlewała.

Młodzieniec w mundurze przekładał również umundorowanemu koledze:

— Całe wakacje ślęczałem; jeśli ten malec nie zda, zgoli mnie ze szczętem, nie dostanę korepetycyi!

— Psie życie! męcz się nad sobą, męcz nad nieukami, i jeszcze potem drzyj o nich, jakby o własną skórę! — odrzekł młodzieniec o podkrążonych oczach i wydłużonej, mizernej twarzy, której złego wyglądu dodawał jeszcze gęsto sypiący się zarost.

— Czy masz poprawkę? — zapytał go kolega.

— Jeszcze czego! siłby mi na to nie starczyło! — odrzekł wychudzony student.

— Wy możecie się poprawiać; wypaślicie się na wiejskich przysmakach, wykąpalicie w czystym powietrzu, a ja nałykałem się fabrycznych wyziewów i dla różnaitości kładłem w głowę tego osła drugą klasę, bo ma ambicję do trzeciej! — mówił zniechęcony, wymizerowany korepetytor.

Psie życie! psie życie! — dodał wzdychając, i posuwał się wśród tłumu wraz z trzymającym się jego kościstej, wychudłej ręki wychowancem.

Chociaż te wszystkie rozmowy prowadzone były prawie szeptem, szept jednakże wychodzący z tyłu piersi, tworzył jakiś nie dający się z niczem porównać szmer. Czasem przechodził w przykry, nieprzyjemny zgrzyt, to znów w kołysanie wzburzonej fali, przerywanej skrzypnięciem otwieranych drzwi, ciągnących się z obu stron długiego korytarza, głośniejszym stąpnięciem po kamiennej posadzce, głuchem westchnieniem matki, modlącej się o powodzenie ukochanego syna.

— Dziś trzecia klasa, inni napróżno się tłoczą — ozwał się głos urzędnika.

— A pierwsza?

— A wstępna?

— A druga? — posypały się pytania.

— Było ogłoszone w gazetach! — zagrmiał tenże sam głos w odpowiedzi.

— Było ogłoszone! — powtórzono przycichłym, lecz prawie rozpaczliwym głosem.

I zaczęto tłoczyć się ku wyjściu, oglądając się jednak, czy nie znajduje się jaka litościwa dusza, która by im oznajmiła o dniu dla innych klas przeznaczonym.

— Rozkład wywieszony na korytarzu! — rzekł ochrypłym głosem zmizerowany korepetytor.

I tłocząc się dalej rzucił po swojemu:

— Psie życie! psie życie!

— Gdzie? co? jak? — posypały się głosy wydziedziczonych na dzień dzisiejszy.

— Tu i tam — i wszędzie! — odrzekł woźny, wskazując na bielejący w kilku miejscach na ścianach papier.

Lecz na korytarzu panował mrok zupełny, przyciemniony jeszcze natłokiem tyłu osób i westchnieniami, wydobywającymi się z piersi dręczonych niepewnością.

Otworzono drzwi na ulicę; woźny raczył otworzyć drzwi do jednej z sal bocznych, rozświetliło się o tyle, że ktoś, ku ogólnemu dobru, zdołał przeczytać o dniu naznaczonym. Korytarz opróżnił się nieco, kandydaci do trzeciej wstępowali na wschody.

Józio idąc na górę, westchnął serdecznie, przeżegnał się i począł szeptać modlitwę do Ducha świętego, której go matka nauczyła.

— Czy zaraz będę zdawał? — szepnął do ojca.

— Nie wiem, mój synu; zapewne wkrótce.

I docisnąwszy się do sekretarza, dającego objaśnienia, rzekł wskazując na Józia:

— Chrustowski Józef! pan będzie łaskaw objaśnić mnie, czy prędko przyjdzie kolej na mego syna?

— Chrustowski, Chrustowski... — powtarzał sekretarz, przerzucając długą listę.

— A jak się pisze przez H, czy Ch? — spytał urzędnik.

— Ch — objaśnił ojciec.

— Dwudziesta trzecia litera! — szepnął sekretarz.

I szukał dalej.

Józio odchrząknął znów i spojrzał na ojca.

Panu Chrustowskiemu wykwitły nagle mocne rumieńce.

— Przed nim jest trzydziestu dziewięciu — rzekł sekretarz.

Józio wi iży w oczach stanęły; słyszał, że tylko dwiętnastu może być przyjętych.

— Nie wszyscy zapewne zdadzą — rzucił sekretarz na pociechę. — Może syn pana zda na piątkę — dodał — będzie miał pierwszeństwo.

Józio iży serce zakolało.

— Na piątkę, na piątkę! — zadźwięczało mu w uszach. Jeszcze więcej ścisnęło go w gardle, odchrząknął kilka razy.

— Gardło cię boli? — spytał ojciec, schodząc ze schodów.

— E, nie, tylko tak!

— Czy kolega już zdawał? — spytał go jakiś chłopiec idący z matką na górę.

— Nie, dopiero będę! I zaczerwienił się.

Wyszli z ojcem na ulicę.

Józio widział snujących się ludzi, słyszał turkot, gwar, nawoływanie, dzwonki tramwajów i cały ten hałas uliczny oszołomiający nieprzywykłych do niego.

Lecz jego nic to nie obchodziło; ponad tym całym szumem dźwięczało mu tylko w uszach:

— Niech zda na piątkę — będzie miał pierwszeństwo!

Przeszedł tak kilka ulic. Przypatrywał się wystawom sklepowym, czytał szyldy, lecz zamiast rzeczy wystawionych, znaków i liter na szyldach, majaczyła mu tylko w oczach piątka.

Widział ją wielką jak domy, to znów małą stopniowo i wyglądała nań oknem. Przystanął przed wystawą siodlarską, wisiało piękne siodło, szczyt marzeń każdego chłopca, lecz Józio na tym siodle dojrzał piątkę, patrząc nań ponurym wzrokiem. Spuścił oczy, chcąc przypatrzeć się leżącym ostrode. W wypolerowanej stali błyszczały małe piąteczki odwrócone bokiem, do góry nogami, lub skaczące na wszystkie strony, pokazując to wydęty brzuszek, to cienką szyjkę zakończoną grubym nagłówkiem. Odwrócił oczy, spojrzał ku górze, lecz tam na wieży kościelnej stała wydłużona cienka piątka, sięgająca swym hełmem aż prawie pod sam strop nieba.

— To dziwne! — szepnął.

— Co cię tak dziwi? — spytał ojciec.

— Na co tylko spojrzę, wszędzie widzę piątkę! czy ja zdam na piątkę? — zapytał.

— Daj Boże, szczerze ci tego życzę! — odrzekł ojciec.

— To tak trudno! — szepnął I zaraz zapytał: — A gdybym zdał tylko na trójkę?

(d. c. n.)



## MARMURY KRAJOWE.

Jeżeli z ciekawością czytujemy opisy, zapoznające nas z bogactwami dalekich krain, słusznem jest, by przede wszystkim nie pozostały nam obce bogactwa własnej ziemi, byśmy nauczyli się je cenić i odpowiednio z nichzystać.

Do takich właśnie skarbów ziemi naszej, skarbów do czasu zbyt mało jeszcze wyzyskanych, zaliczyć należy i kieleckich marmurów. Przedewszystkiem jednak przynijmy sobie, czem właściwie jest marmur? Otóż mianowicie zalicza marmury do wapieni, które w takiej ilości

i plamami — i *kruchowe* czyli brekczyze, składające się z różnorodnych ułamków połączonych z sobą masą marmurową.

Łomy marmurów kieleckich nie są przecież nowem odkryciem. Najstarsze kroniki wspominają już o dożywianym w Chęcinach marmurze, jednak prawdą jest, że dział ten górnictwa pozostaje w dziwnem zaniedbaniu, gdy odpowiednio prowadzony dałby pracę i zarobek setkom ludzi, a usuwając z handlu także wyroby zagraniczne, przyczyniłby się tem samem do dobrobytu krajowego.

Kiedy mianowicie poczęto czerpać z łomów kieleckich marmurów, ściśle określić trudno, to wszakże jest pewne, że były one już dobrze znane za czasów Zygmunta III i że Władysław IV kazał w Chęcinach, najbogatszych „łomach”,



Kopalnia marmuru w Bolechowicach.

powszechniane są w skorupie ziemskiej, że większa część ropy z nich właśnie się składa.

Naturalnie, w olbrzymim tym dziale spotykamy różnorodne odmiany. Dość nam porównać kawałek jakiegokolwiek marmuru z bryłką wapna, gipsu lub kredy, aby znać nadzwyczajną między nimi różnicę, jakkolwiek wszystkie są właśnie wapieniami.

Główną cechą marmuru jest jego krystaliczna ziarność i spójność drobnych tych cząsteczek, tak, iż przedstawiając znaczną twardość, nadaje się do polerowania, a dla piękności barw stanowi cenny materiał rzeźbiarski i architektoniczny.

Że przymioty te występują nie zawsze w równym stopniu, podzielono marmury na różne klasy, z których jako najwspanialsze przedstawiamy: marmury *pojedyncze* do których leżą czysto białe, czarne i żółte, oraz zabarwiane żyłkami

wykuć z jednej olbrzymiej bryły kolumnę, którą sprowadził do Warszawy w 1643 r., poświęcając ją pamięci ojca swego. Kolumna ta zdołała w ciągu 242 lat dzisiejszy plac zamkowy, jako podstawa do figury Zygmunta III-go i dopiero w 1885 r. z powodu zwiędzenia, czyli skruszenia od działania powietrza, zastąpioną została przez nową z granitu tyrolskiego.

W następnych czasach marmury chęcińskie łamane były w mniejszej lub większej ilości na przyozdobienie kościołów i pałaców, lecz nie otoczono tego przemysłu pożądaną opieką.

Długo więc jeszcze lata dobywanie marmurów z pokładów chęcińskich zostawało w rękach drobnych przedsiębiorców, a w braku umiejętnego kierownictwa przez ludzi fachowych, rozwijało się bardzo powoli. Dopiero przed 25 laty powstało towarzystwo udziałowe ze znaczniejszym ka-



pitałem, i rozwinęło na szerszą skalę umiejętną działalność w tym kierunku. Wzniesiona w Kielcach parowa fabryka z odpowiednim urządzeniem pił, tokarni, szlifierni i t. d., obrabia surowy materiał, dowożony z miejscowości trzymiłowego obwołu, które zostały bądź to zakupione, bądź wydzierżawione na eksploatację.

A materiału tego jest tam obfitość wielka, rzec można, że posiada go cała kielecka gubernia, w ogóle tak bogata w pokłady mineralne; najgrubsze wszakże warstwy marmurów ciągną się mniej więcej równolegle do ogólnego kierunku gór kieleckich, to jest z południo-wschodu na północ-zachód.

w Brzozówce, Kadzieln, Karczówce, Podzamczu, B. tynie, Jaworni, Dębskiej woli i t. d.

Że zaś wyroby tamtejsze nie są gorsze od zaocznych, dowodzi fakt, iż na kilku ostatnich wystawach wycich i wszechświatowych, zyskały nietylko wyróżnieniec i nagrody w medalach srebrnych.

M. L



### *Z „Krzyżaków” Sienkiewicza.*



Jagiello po bitwie pod Grunwaldem.

Najwyższe góry skaliste około Chęcin: Zamkowa i Zelejowa — składają się przeważnie z tychże wapieni. Obok obfitości znajdujemy tam także niezwykle urozmaicenie w kolorach i gatunkach. Jest czysto biały, przeświecający, wysoko ceniony; są szare z plamami, żyłami niebieskimi, różowymi, fioletowymi, które mniej lub więcej całość zabarwiają; są też odmiany marmuru zupełnie ciemnego, czarnego nieledwie. Ogółem ze znanych dotychczas odmian liczą około 120-tu, z których wyrabiane są odrzwia, schody, balkony, parapety, ambony, kominki, kolumny, wazony ozdobne, oraz różne drobiazgi domowego użytku, wreszcie nagrobki i tablice pamiątkowe.

Z miejscowości, w których bogatsze pokłady tego wapienia zasługują na wyróżnienie, wspomniemy jeszcze oprócz powyższej wzmiankowanych łomy w Bolechowicach, przedstawione właśnie na rycinie w dzisiejszym numerze, dalej

### *Bądź wola Twoja.*

Bądź wola Twoja  
O dobry Panie!  
Niech się jedynie  
Twa wola stanie!

Bądź wola Twoja,  
Gdy szczęśliwemi  
Uczynisz ludzi  
Na biednej ziemi.

Bądź wola Twoja,  
Kiedy w milczeniu  
Każeś nam dźwigać  
Krzyż na ramieniu.

Bądź wola Twoja  
Zawsze i wszędy  
Bo Twoja święta  
Najlepsza będzie

Dzięki za wszystko  
Przyjm od nas Panie  
Dzięki pokorne,  
Ciche błaganie!

Czy nam przyś  
Dobra, zła dola  
Zawsze i wszędy  
Bądź wola Twoja



## 13-y list Janka Ł. do Redakcyi „Wieczorów.”\*)

(Dalszy ciąg).

20 sierpnia.

Kończę ten list do was, koledzy, bo Burowie dokazują prawdziwych cudów waleczności, a ja nie mam z kim podzielić uciechy, jaką mi sprawiają ich zwycięstwa. Zuchy oni nad zuchami, dawno świat nie widział takich! Do takty wysłałem już dwa listy, wziąłem też zaliczkę z redakcyi i wyprawiłem telegram na Świętą Helenę, chociaż to kosztuje drogo, zwłaszcza, że zapłaciłem odpowiedź. Tatce jednak nie mogę donosić o zwycięstwach Burów, bo zabronione jest surowo komunikowanie wiadomości politycznych więźniom internowanym na wyspie.

Posłuchajcie więc wy, koledzy, o bohaterskich prawdziwych czynach dowódcy Burów de Wett. Pochodzi on z rodziny, która od dawna piastowała najwyższe godności w rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej, kształcił się w Londynie, gdzie otrzymał zaszczytny stopień naukowy doktora praw. Powróciwszy do ojczyzny, został członkiem parlamentu, a gdy rozpoczęła się wojna wstąpił razem z trzema swymi synami do armii Burów. Zdobył przędka sławę jednego z najlepszych dowódców, bo odniósł kilka świetnych zwycięstw nad generałem angielskim Gatacre. Po zajęciu Bloemfontainu, stolicy Oranii, przez wojska królowej Wiktorii, de Wett zgromadził oddział Holendrów i rozpoczął z nim walkę podjazdową na własną rękę, jak Kmicic ze Szwedami w „Potopie” Sienkiewicza, niepokojąc armię angielską, zabierając jej żywność, niszcząc koleje, a nawet odnosząc niekiedy znaczne zwycięstwa. Marszałek Roberts wysłał przeciw de Wettowi dwóch swoich wodzów: lorda Kitschenera i generała Metuena, zrobili nań nagankę, bo chcieli obsaczyć dzielnego partyzanta, niby wilka w kniei, ale naganka zawiodła, chociaż Anglicy mieli z sobą 30,000 ludzi, a Bur dowodził zaledwie trzema tysiącami żołnierzy; dziesięciu na jednego!

De Wett, nie mogąc się utrzymać dłużej we wschodniej Oranii, poszedł na zachód i omijając miasto Kronstadt, stanął nad rzeką Waalem. Tu czekał już na niego lord Metuen, a lord Kitschener szedł krok w krok za oddziałem Holendrów. Myślicie może, koledzy, że tym razem de Wett dał się wziąć w pułapkę? otóż wcale nie; przeszedł w oczach nieprzyjaciela przez rzekę Waal i zajął na drugim brzegu obronne stanowisko. Metuen uderzył na de Wettą i wyparłszy go z szanów, chciał odrzucić oddział Burów na armię Kitschenera, ażeby ten zrobił bigos z Holendrów; de Wett jednak i teraz umiał sobie poradzić. Wykonał niespodziewanie odwrót na lewo, przesunął się pomiędzy dwiema armiami nieprzyjacielskimi, pokazał flegę obu generałom i ruszył w kierunku północno zachodnim.

Anglicy puścili się za nim w pogoń i byli pewni, że nareszcie osaczą Burów, bo przyszedł im w pomoc trzeci oddział. Tymczasem wszystkie te nadzieje trzech wodzów angielskich spaliły na panewce; de Wett wymknął się i pomaszerował do Wentersdorpu. Tam pobił nieprzyjaciela, wziął mu sporo niewolnika, amunicyi, zapasów żywności, a przytem tak ożywił ducha w swoich rodakach, że utworzyło się w całym kraju mnóstwo partyzanckich oddziałów. Podchodzą one aż pod Pretoryę, a i w Johannesburgu nawet spodziewany jest de Wett.

Johannesburg jest punktem wielkiej wagi dla Anglików, bo liczy przeszło sto tysięcy mieszkańców i stanowi ognisko produkcyi złota, a produkcyja ta rozwinięta jest bardzo w całej dzielnicy Witwaterswandu. Tak się dziś wyraził jeden z panów w redakcyi, ja słuchałem go uważnie i nawet zanotowałem sobie kilka cyfr, dotyczących dobywania złota w Transwaalu. Już to nie raz myślę, że niesłusznie biorę zapłatę za moją pracę w redakcyi, gdyż nauczę się tam więcej niż zarobię. Dziś naprzykład położyłem pióro, bo uważałem co mówili dwaj młodzi Anglicy, przybyli świeżo z Londynu i zrozumiałem teraz dopiero powo-

dy, dla których z taką zaciętością Brytania walczy o Transwaal. Smutny to powód, koledzy, krew tysiąca ludzi płynie zgadnijcie dlaczego... dla złota. Kiedy przed dwudziestu laty przyszło do wojny między Burami a Anglią, to w Londynie oburzano się powszechnie na zaborczą wyprawę Afrykańską i po zwycięstwie odniesionym przez Burów pod górą Majubą, Gladstone kanclerz angielski, zawarł natychmiast pokój z Transwaalem. Dlaczegoż więc teraz mimo tylu klęsk, bo Anglicy stracili już przeszło 40,000 ludzi w Afryce, wojna prowadzona jest z coraz większą zaciętością i nikt nie protestuje w Brytanii przeciw jej okrucieństwu? Postaram się wytłomaczyć wam koledzy.

Rok 1886 będzie na wieki pamiętnym dla Transwaalu, bo w roku tym znaleziono tam pierwsze pokłady złota. Wydobyto go wtedy za 700,000 marek, ale produkcyja tego drogiego kruszcza rosła tak szybko, że w 1898 r. wyniosła już 400 milionów marek. Taka sumka to łakoma rzecz! Złakomili się też na nią ludziska w Anglii i utworzono bardzo wiele towarzystw akcyjnych południowo-afrykańskich do wydobywania złota w Transwaalu, powstały także towarzystwa zakładające tam różne fabryki, budujące koleje żelazne, zaprowadzające komunikacye wodne. Akcye wypuszczano na bardzo niskie sumy; jest wiele towarzystw z akcyami po jednym funcie szterlingów, co znaczy mniej więcej około 10 rubli. Takich akcyi sprzedano w Anglii 77 milionów, niemal każda rodzina angielska, nieraz nawet bardzo uboga, posiada w swoim ręku akcyę transwaalską. Pomyślcie więc, koledzy, że gdyby u nas oszczędność była tak rozwinięta jak w Anglii, służący warszawscy mogliby z łatwością posiadać akcyę dziesięciorublową. A teraz wyobraźcie sobie jakie zainteresowanie budzi w Londynie wojna afrykańska, od przebiegu jej bowiem zależy wartość akcyi, to jest zyski lub straty dla milionów ludzi. Dlatego więc ta wojna jest popularną w Anglii; pragnienie zysku zagłuszyło uczucie sprawiedliwości, jakim Brytania odznaczała się po większej części dotąd. Smutne to bardzo, ale niestety prawdziwe, koledzy.

Ma więc Roberts trosk nie mało, żal mi marszałka, bo czuję dla niego wdzięczność, ale czemu prowadzi niesprawiedliwą wojnę, czemu prześladuje biednych Holendrów! Wydał naprzykład proklamacyę, grożąc w niej, że Burowie liczący więcej niż 12 lat wieku, jeśli odmówią przysięgi na wierność Anglii, będą wywiezieni z Afryki. Prezydent transwaalski Krüger \*) ogłosił natychmiast odpowiedź na tę odezwę; radzi on Holendrom, aby wytrwali w walce, na cóż bowiem przyda się im składać broń, kiedy mają być uważani za jeńców wojennych i wywożeni na wyspę Świętej Heleny. Mój Boże! dla tylu ludzi los taki jest postrachem, a ja byłbym szczęśliwy, gdyby mnie porwano i wywieziono tam, gdzie jest tatka. Niestety, nikt o tem nie myśli i dotąd nie wynalazłem innego sposobu połączenia się z ojcem, jak zarabianie w redakcyi, gdzie mimo że płacą coraz lepiej, muszę jednak jeszcze pracować miesiąc, zanim uzbieram potrzebne na podróż pieniądze.

(d. n.)

## KOLEŻANKI,

(Dalszy ciąg)

SCENA 6-ta.

Też same i Anusia

(Mania *whiega, ciągnąc za rękę zapłakaną Anusię; nabiera szybko garść drobnych monet i ujmując jej fartuszek, zsypuje w niego raz i drugi. Potem końce fartuszka wsuwa dziewczynie w ręce. Anusia stoi oszołomiona*)

Mania (mówi szybko). Na, masz! panienki ci się złożyły na nowy klosz, leć i kupuj.

(Anusia stoi zdumiona).

\*) Który obecnie przyjechał do Europy i przebywa w Holandyi.  
(Przyp. Red.)



Mania (żywo). Lećże! (*Anusia wciąż stoi*).

Mania (*z niecierpliwością do panien*). No, widzicie ją, nowożytna żona Lota, (*całuje ją w głowę i popycha ku drzwiom*). No idźże już raz, bo kto wejdzie i wyda się.

Anusia (*spogląda dokoła i oddycha głęboko, po chwili zupełnie już przytomna, drżącym głosem*). O panienki moje, o aniołki kochane! (*Chce im dziękować, ale Mania obraca ją ze śmiechem w pół i za drzwi wysuwa*).

Mania. No lećże już, leć prędzej! (*sama ukradkiem obciera oczy, niby coś poprawia koło fartuszką ureszcie, obracając się ku Jadzi, chyła ją za rękę*). Chodź młynka!

Stasia. Tylko cicho!

(*Jadzia i Mania śmiejąc się, zaczynają się kręcić*).

Władzia (*podbiegając do Kazi*). Cichutko się sprawimy. (*Kazia opiera się trochę, ureszcie zgadza się i zaczynają się kręcić*).

Fela (*porywa Rózię*). Chodź i ty! chodź i ty! (*trzy pary wirują*).

Helenka (*wyciągając ręce do Wańdzi*). No chodź i ty. (*Ujmują się i zaczynają nadśluchiwać, Józia przemyka się między niemi do Łodzi. Stasia podchodzi do Meli, która w tej chwili od okna odeszła i na przodzie sreńy usiadła. Młynkujące panienki chwilami odpoczywają, śmieją się po cichu i znowu się kręcą*).

Stasia (*siadając przy Meli*). Moja Melciu, czegoś ty taka smutna?

Mela (*krótko*). Wcale smutna nie jestem.

Stasia. No, to masz do nas urazę.

Mela (*j. w.*). Ja do nikogo nie mam urazy.

Stasia. A dla czego tak mówisz?

Mela. Jakżeż ja mówię?

Stasia. Tak jakoś seryo, tak zimno.

Mela. Nie umiem inaczej.

Stasia. Bo nie chcesz.

Mela. Żebyś i ty dostała trójkę z historii, to ciekawam, czyby ci się chciało śmiać.

Stasia. Zapewne, że nie, ale gniewać się na całą klasę bez powodu, to znowu co innego.

Mela (*porywczo*). Ja się wcale nie gniewam. Wiem tylko dobrze, że mię wszyscy nie cierpią.

Stasia (*ciszej i poważniej*). Nie cierpią? nie. Ale powiedz sama czy ty się każesz lubić?

Mela (*zimno*). Nie mam zwyczaju nikomu rozkazywać.

Stasia (*ze łzami w oczach*). Dla czego ty mię zrozumieć nie chcesz? Ja pragnęłabym, żeby świat cały kochał się jak jedna wielka rodzina, a cóż dopiero my — koleżanki z jednej klasy?...

(*Drzwi boczne otwierają się szybko wbiega p. Marya*).

P. Marya. Ustawiajcie się i chodźcie!

(*Panny szybko ustawiają się w pary, Mela usuwa się w środek do Kazi. Po chwili p. Marya otwiera drzwi od sali i wszystkie rzędem wychodzą*).

(*W połowie tego zasłonu spada*).

## AKT 2-gi.

### SCENA 3-cia.

(*Tanże sam pokój co przed kilku godzinami, tylko trochę przystrojony. Otwarte drzwi od sali przysłania portyera, płyną stamtąd dźwięki muzyki i szelest tańczących par*).

(*Po chwili wchodzi Mela mocno rozirytowana, za nią wbiega Helenka*).

Helenka. Mela! Mela! czego uciekasz?

Mela. Kiedy wam myłę tańce, to pocóż mię gonisz?

Hela. Jedna omyłka każdemu przytrafić się może; najepszej nawet tancerce.

Mela (*z irytacją*). Ale, że ja jestem najgorsza...

Hela. Co znowu?

Mela. Słyszałam doskonale, co Łodzia mówiła.

Hela. Nie wielkie rzeczy, może mówiła żartem, wiesz chyba sama, że nieźle tańczysz.

Mela. A widzisz, ty sama nie powiesz mi „dobrze” tylko „nieźle,” za oczy powiesz po prostu „źle.”

Hela (*żywo*). O, bardzo proszę, ani w pochlebstwa, ani w obmowy ja się nie bawię.

Mela (*zmięszona*). No, ja przecież nie chciałam ci tego powiedzieć.

Hela (*obrażona*). To uważaj, jak co mówisz. (*wychodzi*).

Mela (*sama*). Wszyscy na mnie. Wszyscy mi dokuczają — ale niech będzie! Nie potrzebuję nikogo. (*siada w rogu kanapy, bierze ze stołu album i przegląda*).

### SCENA 2-ga.

P. Pułkownik i P. Marya, Stasia i Władzia, Mania i Fela, Jadzia i Ignas, Józia i Franuś i Józio.

(*Portyera od sali rozchyła się i pary wchodzi, rozmawiają i mijają się*).

P. Pułkownik. Jaki tu przyjemny chłód.

P. Marya. W sali zrobiło się już duszno.

P. Pułkownik (*stając przy oknie*). A jaki ładny stąd widok, całe miasto jak na dłoni.

(*Rozmawiają półgłosem i pokazują sobie widocześnie gmachy*).  
Jadzia (*do Ignasia*)! No, i jakże się panu podoba nasza pensjonarska zabawa?

Ignas. O bardzo, byłem już na paru wieczorach, ale tam było co innego: same panny dorosłe, treny dokoła, bałem się co chwila nadeptać. (*śmieje się — Jadzia również*).

Jadzia. A tu?

Ignas. A tu zupełnie co innego, bo choć nie tak wspańiale, ale tańce z takim życiem prowadzone i wszyscy się bawią doskonale.

Józia (*do Franusia*). A jaki taniec lubi pan najlepiej?

Franuś (*wesoło*). Mazura — bo to i ja Mazur.

Jozio (*wybiegając z poza nich*).

„I ja Mazur mazowiecki,  
Starodawny, staroświecki!”

(*Bije hołupca i męsza się w tłumie*).

Fela. Łodzia z samymi dorosłymi tańczy.

Mania. Ba! O mało już fartuszką nie zdjęła, ale p. Marya nie pozwoliła.

Wańdzia. My pojutrze wyjeżdżamy do Solca, bo dzia duniowi doktor kazał.

Stasia. A ja jutro rano sama jadę do domu, mama nie mogła po mnie przyjechać. O tej porze będę już w Kielcach.

Władzia. Masz jakie projekta na wakacje? jaką zabawę...? ja trzy wieczorki mieć będę.

Stasia. Tak specyjalnie to zabawy nie będę miała żadnej, ale naprawdę to przy mamie i moich małych braciśkach, całe wakacje będą mi zabawą; abyśmy tylko wszyscy w zdrowiu byli.

P. Pułkownik (*odchodzi od okna i wskazuje na młodzież*). Jaki to ładny widok, gdy się młodzież bawi. Staremu, zaraz się własna młodość przypomina.

P. Marya. Pan pułkownik jeszcze ślicznie poloneza prowadzi.

P. Pułkownik (*kłaniając się*). Łaskawy to komplement, ale starego nogi już bolą. (*siada w fotelu, obok na krześle panna Marya, z drugiej strony Wańdzia, inni stoją obok lub siadają na kanapie*).

P. Pułkownik (*do Wańdzi*). Trzeba sobie odpocząć, prawda Wańdziuniu. (*uśmiecha się czule do niej*).

Wańdzia (*ujmuje rękę dziadka i całuje ją serdecznie*). Może i prawda, ale dziadzio doprawdy ślicznie tańczy.

P. Pułkownik (*gładzi ją po twarzy*). I ty mi komplementa prawisz? no! no! (*zwraca się do Meli*). Panienka też pewno nie od tego.



**Mela** (*jakaś zmieszana*). Ja... tak bardzo... nie bardzo... lubię tańczyć.

**P. Pułkownik** (*nastłuchując*). Aha! lubi panienka, lubi... to dobrze, młodzież powinna mieć ochotę do zabawy. (*po chwili*). Ale to podobno teraz taka moda, od ziemi to nie odrosną, a już powagi starszych zażywałyby chcieli. (*z żywością*). A za moich czasów każda panienka musiała być i do tańca i do różańca!

(*Mela pomięszana skubie chusteczkę, P. Marya uśmiecha się*).

**Franio i Ignaś**. O panie dobrodziejku i terażniejsza młodzież lubi się bawić

**Józio**. Ja się bardzo lubię bawić — ale w konie to najlepiej! (*wszyscy się śmieją*).

**Wandzia**. A jak jest jaki smutek, jakie zmartwienie, to nie zawsze można się śmiać.

**P. Pułkownik**. No, to co innego, trzpiotać się całe życie nie zalecam. Ale znowu bez powodu drzemać w kącie, a jeszcze nie daj Boże pokwasić całe towarzystwo, to podług mnie i nieładnie i niegrzecznie.

**Mela** (*pochyla głowę i cicho wzdycha*).

**Pan Pułkownik** (*po długiej chwili ogólnego milczenia*). Może przejdziemy do starszych.

**P. Marya** (*podaje mu rękę*). I owszem. (*wychodzą do bocznego pokoju. Młodzież tworząc pury, wybiega do sali*).

(*d. n.*)

## Prof. Jan Trejdosiwicz i Bronisław Grabowski.

W końcu zeszłego roku straciliśmy dwóch mężów zasłużonych na polu kształcenia młodzieży, których pamięć należy uczcić i zachować, a mianowicie: przełożonego szkoły realnej w Warszawie Jana Trejdosiwicza i nauczyciela progimnazjum pińczowskiego, Bronisława Grabowskiego. Jako profesorowie i przewodnicy młodych pokoleń, zyskali sobie ogólną wdzięczność i uznanie. Ale nie na tem jedynie polu orodniała się ich działalność. S. p. Jan Trejdosiwicz urodzony w Warszawie w 1834 r., był uczonym geologiem i mineralogiem, zajmował kolejno aż do r. 1880 katedry tych nauk w b. Szkole Głównej i Uniwersytecie Warszawskim, oraz ogłosił drukiem wiele prac naukowych, dotyczących geologii naszego kraju.

S. p. Bronisław Grabowski, ur. w Kaliszu 1841 roku, był poetą i pisarzem i zostawił po sobie wiele pięknych dramatów i opowiadań, przeważnie z podań naszych ludowych i z dziejów słowiańszczyzny południowej. Był bowiem wielkim miłośnikiem i znawcą literatury i historii tych pobratymczych narodów.

## ZAGADKA.

Mało przedmiotów na Bożym świecie,  
Tak miłych wszystkim jak ja, znajdziecie.  
Wesołość memi podąża ślady,  
Robiąc mi miejsce w pośród biesiady.  
Każdy rad ku mnie wyciąga ręce,  
Bo i postawą, i wonią nęcą.  
Tak bywa w zimie — i cóż powiecie,  
Że gdy nastaje wiosna na świecie,  
Ja wtedy mieszkań rzuciwszy mury,  
Pierwszą ozdobą jestem natury,  
Bo we mnie tylko naówczas drzemie  
Wszystko, co wdziękiem ozdabia ziemię.

## ARYTMOGRYF.

od Czarnuszki Zak. dla Jaskółki.

- 1) 7, 9, 7, 9, 5, 9, 4. Roślina z rodz. obrazkowatych.
- 2) 5, 17, 18, 18, 8, 15, 8. Kompozytor muzyczny włoski.
- 3) 9, 29, 17, 7. Część składowa powietrza.
- 4) 15, 8, 4, 17, 19, 17, 33, 8, 18. Twierdza w Bulgarii nad [Dunajem].
- 5) 18, 9, 22, 17, 25, 8, 10, 6. Drzewo z rodz. szyszkowatych.
- 6) 25, 44, 17, 6, 54. Mieszkaniec kraju połud. Europy.
- 7) 9, 5, 12, 9, 15, 8, 10. Sekta religijna z IV wieku.
- 8) 9, 22, 9, 1, 10, 1, 15, 17, 15. Bohater z wojny trojańskiej.
- 9) 33, 10, 25, 4, 17, 15, 8, 10. Kwiaty z rodz. krzyżowych.
- 10) 8, 29, 9, 5. Dopływ Dunaju.

Początkowe i końcowe litery wyszukanych wyrazów, utworzyć mają nazwę rzeczywistą w Afryce złączone spójnikiem z nazwiskiem mianowanego tam w ostatnim czasie wodza angielskiego.

## ROZWIĄZANIA DO Nru. 1-go.

### 1) Kwadratu magicznego:

6	1	8	3 rzędy pionowe.
			3 rzędy poziome
7	5	3	2 przekątne
2	9	4	dają sumę 15.

### 2) Zadania małego Eskimosa:

$3\frac{3}{4}$	$7\frac{1}{2}$	$3\frac{3}{4}$	2 rzędy pionowe
			2 rzędy poziome
$7\frac{1}{2}$	$7\frac{1}{2}$	$7\frac{1}{2}$	2 przekątne długie
$3\frac{3}{4}$	$7\frac{1}{2}$	$3\frac{3}{4}$	4 przekątne krótkie
			dają sumę 15.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

**TREŚĆ:** Uczone lwy (z ryc.) — Paniczek przez Z. Morawską. — Marmury krajowe, przez M. D. (ryc.) — Jagiełło pod Grunwaldem (ryc.) — Bądź wola Twoja, wiersz przez Annę Kiersnowską. — Trzynasty list Janka Ż. do Redakcji Wieczorów. — Koleżanki, komedyjka w trzech aktach przez A. Z. — Prof. Jan Trejdosiwicz i Bronisław Grabowski — Łamigłówki i rozwiązania.

**Dodatek:** Abecadło w obrazkach. Karty (z ryc.) — Czy wróci wiosna, rozmowa przez Z. Zacharkiewcz. — Pogadanki z życia codziennego, (Kawa). — Piotruś i Basia przez A. Skibniewską. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:**

Dziedzictwo Karola Wielkiego, powieść historyczna z IX-go wieku Karola Deslys, przekład z francuskiego M. K.



## Abecadło w obrazkach.



arty.

Kazio został sam w pokoju, z ulubionym kotkiem. Mama uczy siostrzyczkę, Bolcia poszła do kościoła, a niania nosi młodszego bratciszkę, Karolka. Kazik siedzi na wysokim swym fotelu, przed nim na stole le-

żą zabawki. a obok, na poduszce, leży kotek i myje się, a coraz to spojrzy na Kazia, mrucząc z radości, że przyjaciel jego taki grzeczny. Kazio ogląda obrazki, ustawia domki dla swych żołnierzy, a potem wycina z kart różne dziwaczne figury. Posiedź chwilę jeszcze tak, mój ty miluchny! Kaziku, wnet przyjdzie siostrzyczka i będziecie się wesoło bawili i skakali po pokoju. A maleńki Karolek, na rękę niani uśmiechnie się i z wielkiej radości w rączki klaskać będzie.

Jak to przyjemnie patrzeć na grzeczne dzieci, które nie hałasują, szkody nie robią; takie dzieci zasługują, by je kochano; takim dzieciom niejedną warto zrobić przyjemność.

N. Nagórna.

## CZY WRÓCI WIOSNA?

(*Wieśniacza chata. Młoda wieśniaczka przedzie, u nóg jej siedzi mała dziewczynka*).

**Hania.** Matusz moja! zimno w chacie...

Czy wy drzewa już nie macie?

**Matka.** Nie mam, córko, lecz wieczorem  
Gdy czas będzie, pójdę borem  
I przyniosę parę wiązek  
Uzbieranych tam gałązek;  
Ugotuję ci wieczerzę.

**Hania.** Twoim słowom matusz wierzę,  
Ale czekać długo trzeba...  
(*z przymileniem*).  
Dajcie mi kawałek chleba!

**Matka.** (*Daje Hani mały kawałek czarnego chleba i siada znów do pracy*).

Masz dzieciństwo!

**Hania.** O, tak mało!

**Matka.** Tyle tylko się zostało...

Moja Haniu, cóż ja zrobię?

**Hania.** A wzięliście matusz sobie?

**Matka.** Wzięłam, wzięłam, jedz dzieciństwo.  
(*podchodzi do okna*).

**Hania.** O, jak czarne chinury płyną!

Patrz matulu, jakie groźne.

**Matka.** Dziś powietrze dosyć mroźne,  
Śnieg łupadnie.

**Hania.** Już tak białe!

Padał przecież nockę całą.

**Matka.** O, nic z tego, córuś miła,  
Będzie jeszcze zimna siła,  
Co nas trapi dłonią zdradną,  
Jeszcze duże śniegi spadną,  
Trzeba będzie ogień palić,  
Żeby się na ziąb nie żalić.

**Hania.** A czy potem wróci wiosna,  
Ta śmiejąca i radosna,  
Ta rozkoszna ukochana?  
Czy słoneczko znów od rana  
Będzie jasne słać promyki?  
Czy powrócą znów słowiki?

**Matka.** O tak, wiosna znowu wróci,  
Bóg niedługo ludzi smuci,  
Bo On kocha ich bez miary...  
Minie zimny czas i szary  
I słoneczko znów rozbłyśnie,  
I skorupa z lodu pryśnie,  
I na polach śnieg roztaje,  
Zazielenią się znów gaje,  
I bociany do nas wrócą,  
I skowronki pieśń zanucą,  
Zajrzy słonko znów do chatki...

**Hania.** I zakwitną pewno kwiatki?

**Matka.** Toż ich pełne będzie pole!

**Hania.** To ja pójdę rwać kąkole,  
Pójdę śliczne rwać bławatki,  
Lila dzwonki, żółte bratki.

**Matka.** I cóż z niemi zrobisz, dziecię?

**Hania.** Z kwiatków wianek się uplecie,  
Ustrojony w srebrną rośę;  
Do kościółka go zaniosę  
I Maryi dam w ofierze,  
I pomodłę się, och! szczerze!

**Matka.** O cóż będziesz prosić Boga?



**Hania.** Żebyś była matuś droga  
Zawsze zdrowa i szczęśliwa,  
Żeby dola rozpaczliwa  
Już nas więcej nie smuciła,  
Żeby było chleba siła  
W naszej chacie dniem i nocą,  
Żeby dołą Bóg sierocą  
Naszą skrócił i nad nami  
Zawsze czuwał! och, ze łzami  
Będę o to prosić Pana!  
Lecz czy będę wysłuchana?

**Matka.** Będiesz, będziesz! Pan Bóg wielki  
Chętnie smutek cieszy wszelki,  
A gdy śle kto modłę rzewną,  
To wysłucha go napewno!  
On nadzieją i miłością,  
Więc się dziecię módl z ufnością.  
Módl się córuś za twe łany,  
Módl się domek twój kochany,  
Za rodzinne twoje lasy  
I za łąki pełne krasy,  
Za twych bliźnich, którym trzeba,  
Wiele siły, wiele chleba!  
Módl się córuś, wznos tve oczy,  
Do błękitnych nieb przezroczy,  
Bóg nakłoni k'tobie ucha  
I modlitwy twej wysłucha,  
Bo On sprawiedliwy, silny,  
Bo On wieczny, nieomylny.

*Z. Zacharkiewicz.*

## Pogadanki z życia codziennego.

### K a w a .

Dzień był pochmurny. Po obiedzie śnieg zaczął padać, Józia i Lutuś nie mogli wyjść na spacer. Józia nudziła się trochę, bo właśnie skończyła bardzo ciekawą książkę, którą pożyczyła od swej ciotecznej siostrzyczki — nie miała więc co czytać i bardzo była zmartwiona, że śnieg pada. Wtem przypomniała sobie obietnicę mamy. Wiem co zrobię, — pomyślała uradowana, — pójdę do mamusi na pogawędkę i dowiem się czegoś o kawie.

Zabrała więc Lutusia, który dosyć niechętnie opuścił swe zabawki, ale wreszcie dał się namówić, i oboje poszli do mamy, zajętej czytaniem w sąsiednim pokoju.

Dobra mateczka odłożyła jednak zaraz zajmującą książkę i uśmiechnęła się do dzieci.

— A co dzieci chcą? — spytała.

— Śnieg pada, mamusiu, na spacer nie idziemy, a mamusia obiecała...

— Pamiętam, pamiętam! Obiecałam opowiedzieć wam o kawie. Czy tak?

— Tak, mamusiu.

— Więc siadajcie tu koło mnie na kanapce i słuchajcie uważnie. Kawę którą pijemy otrzymujemy z nasion drzewa kawowego, które rośnie dziko daleko od nas,

w bardzo gorących krajach. Obecnie zakładają plantacje kawy i hodują ją w celu przyrządzania tego smacznego napoju.

— A dlaczego my po obiedzie nie pijemy czarnej kawy, tylko tatuś ją pije? — spytał nagle Lutuś.

— Bo kawa czarna jest dla dzieci niezdrowa, a nawet i dorosłym szkodzi, jeśli jest użyta w zbyt dużej ilości.

Uprawa kawy nie wymaga tak wielkich starań, jak uprawa herbaty. Musi być tylko posadzona w bardzo gorącym kraju i bardzo często podlewana. Na drzewie wyrastają owoce podobne nieco do wiśni, ale niesmaczne. Wewnątrz takiego owocu znajdują się dwa ziarenka, z których to właśnie otrzymujemy kawę. Znacie ziarenka kawy. Surowe mają szaro zielonawy kolor, a po upaleniu w odpowiednich piecykach, robią się ciemno-brunatne.

W Europie znają kawę przeszło od lat trzystu, lecz rozpowszechniać zaczęła się dopiero od lat dwustu. Od tylu też lat jest znana i u nas. Kawę otrzymujemy przeważnie z Ameryki, z kraju, który się nazywa Brazylią, rz. wysp azyatyckich, Jawy i Ceylon.

— O wiem — zawołała Józia — i dlatego ta kawa nazywa się Jawa. Prawda, mamusiu? A jest jeszcze jakaś inna nazwa... mo... ma... eh, nie pamiętam, ale wiem, że mamusia kazała raz kupić Wojciechowej...

— Mokka? czy tak?

— A tak, tak, mokka. A dla czego ona nazywa się „mokka.”

— Także od pewnej miejscowości, co się nazywa Mokka. Ale tej kawy mniej mamy w handlu bo też jest droższa od innych gatunków.

— Ach, jak jabym chciał jechać do tych gorących krajów — westchnął Lutuś. — Tam to wszystko rośnie: i herbata i kawa i kakao.

— O, i pomarańcze i cytryny! Jakby to było przyjemnie chodzić sobie i zrywać z drzewa pomarańcze, albo daktyle — rzekła Józia.

— Ja myślę — odezwała się mama — że tobie równie przyjemnia jest chodzić w lesie lub po ogrodzie u cioci i zrywać porzeczki, agrest lub wiśnie, albo czatować, czy jaka dojrzała gruszka nie spadnie z drzewa.

— Tak, ale...

— I w ogrodzie u cioci nie jest ani tak strasznie gorąco, jak w tamtych krajach i niema żadnych jadowitych węzów, ani natrętnych owadów, których pełno w tamtych gorących krajach.

— Eh, kiedy tam są jakie nieznośne stworzenia, to już wolę ogród u cioci — powiedział Lutuś, biegnąc za Józią do przedpokoju, aby odebrać kapelusz i laskę od powracającego do domu tatusia.

*Z. K.*

## Piotruś i Basia.

(Dalszy ciąg).

I rozeszli się, każdy w swoją stronę. Jakóbek, rośli, silny, biegł Krakowskim Przedmieściem, klaskając palcami i wymachując kijem w takt śpiewanej wesołej pio-



senki; od czasu do czasu zatrzymywał się przed wystawami sklepów, przyglądał się jadącym dorożkom, przysłuchiwał ulicznemu zgiełkowi. Gdy tylko jednak jacyś bardziej dostatnio odziani ludzie przechodzili koło niego, zmieniał się natychmiast, garbił plecy, spuszczał głowę, wykrzywił twarz niby od bólu, i zamiast wesołej piosenki, coś nakształt jęku wydobywało mu się z gardła, wraz z żałosną prośbą: — Dajcie choć grosik biedakowi, szlachetna pani! dobry panie! zmiłujcie się nad sierotą.

Piotruś zaś skoczył w stronę Wisły, a choć młodszy dużo od Jakóbka i węższy, zdawał się wyższy, taki był wyprostowany, z głową podniesioną do góry i wzrokiem śmiałym i jasnym, szedł krokiem pewnym, nikogo o nic nie prosząc.

Na tym samym rogu ulicy św. Jana, gdzie dwie godziny temu stał Piotruś i teraz stało oparte o mur kamienicy dziecko wątłe, mizerne, tego samego wzrostu, w nędznej odzieży, z taką samą prawie twarzyczką, o jasnym, szczerym wyrazie, tylko twarz ta miała rysy drobniejsze a cała postać drobniejsza, miała wdzięk i zręczność dziewczęcą. Włosy jasne, w splecionym gładko warkoczu opadały na plecy, oczy niebieskie patrzyły na świat ze zdziwieniem. Była to siostra Piotrusia, mało co od niego młodsza, Basia. Jeszcze byli bardzo małymi dziećmi, kiedy stracili rodziców; nie mieli nikogo oprócz starej babuni, która żyła ich z pracy rąk własnych; mieszkali w ubogiej chacie i pomagali jej uprawiać mały kawałek ogrodu, w którym sadzili kartofle.

I było to główne ich pożywienie. Ale wkrótce i tego nie wystarczało na troje. Babuni oczy słabły już nie mogła przyjmować wiele roboty do szycia, w chacie wszystkiego zaczęło brakować. Poszli więc w świat szukać chleba. Jak młode ptaszki z gniazda, wyfrunęli, żeby sobie samym radzić. Napłakała się babunia nie mało, nim się na to zgodziła, ale potem pobłogosławiła kilkakrotnie, uściskała, dała, co miała zapasu grosza na drogę i w świat wyprawiła.

— Niech was Bóg prowadził — powiedziała, żegnając. — Bądźcie pobożni, uczciwi i dobrzy, kochajcie się zawsze, jak teraz, a Bóg was nie opuści i Matka Boska opiekować się wami będzie. Ufajcie Bogu w dobrem i złem, módlcie się, a usłyszysz was i złe odwróci, a dobrem nagrodzi.

Dzieci uściskały babunię; ze łzami w oczach i ciężkiem sercem poszły za innemi w świat, ku Warszawie. Tu spodziewały się znaleźć pracę, a miały tyle dobrej woli, odwagi i chęci, że były pewne, iż radę sobie dadzą a nawet wkrótce będą mogły powrócić do kochanej babuni z oszczędzonym groszem.

Ale niestety, nie tak to łatwo poszło, jak się zdawało z daleka. Cały rok minął, a skarbonka nieraz już prawie pełna, raptem opróżniła się znowu, a teraz była nawet całkiem pusta. To roboty nie było, nikt do czyszczenia kominów Piotrusia nie wzywał, nikt drobnych usług Basi nie potrzebował, i na życie wydawać wtedy trzeba było, to co się przedtem zaoszczędziło. Raz Piotruś spadł z komina i nogę zwichnął, musiał dwa tygodnie leżeć bezczynnie, potem znowu Basia dostała febry i choć z całych sił walczyła z chorobą, choć nie przestała pracować dopóki tylko mogła, nie skarżąc się bratu, on spostrzegł

chorobę, otoczył ją takim staraniem, jakby ojciec rodzony, dostarczał jej lepszego pożywienia, nie puszczał w słońce i zimna na bieganie po mieście za zarobkiem. Był jej nie tylko bratem, ale i opiekunem najlepszym. Te choroby wyczerpały cały ich przez rok z mazołem i cierpliwością zbierany zapas, i teraz trzeba było zaczynać od początku.

Z daleka już Basia, zobaczywszy zbliżającego się Piotrusia, podskoczyła ku niemu z radością, wołając:

— Przychodzisz nareszcie, jak to dobrze! od tak dawna czekam na ciebie. Mam ci coś dobrego do powiedzenia, zarobiłam już dzisiaj złotówkę. A ty braciszku?

— Ja mam tylko 15 groszy — odpowiedział Piotruś — oto są.

— No, tośmy prawie bogaci w ten pierwszy dzień Nowego Roku, a tak się bałam, że właśnie dziś nie znajdziemy zarobku, ale zamiotłam ulicę stróżowi, przyniosłam wody pani z naprzeciwnika i chodziłam z listem do magazynu.

— Aj Basiu, nie męcz się tylko zanadto. Jeszcze nie jesteś całkiem zdrowa. Ja powinienem za nas oboje pracować, żebyś ty jeszcze wypocząć trochę mogła, tymczasem właśnie ja nic nie robiłem, a tych piętnaście groszy, które mi dano, to i tak za wiele za otwarcie drzwi czek karety.

— Piętnaście i trzydzieści, to razem czterdzieści pięć groszy. Cóż my zrobimy z temi pieniędzmi? — zapytała Kasia.

— Trzeba schować do skarbonki ze 25 groszy — odpowiedział Piotruś — wiesz przecie, żeśmy postanowili zawsze połowę tego, co zarobimy, składać na czarną godzinę, na czas, w którym zarobku dostać nie można.

— A także, żeby mieć za co powrócić do domu — dodała Basia.

Piotruś westchnął. — Miałem nadzieję, żeś o tem zapomniiała?

— Zapomnieć o tem! — zawołała dziewczynka. Och, ja nigdy o tem nie przestaję myśleć, tylko tobie już o tem nie mówię, żeby cię nie martwić. Jeszcze tej noey śniło mi się, że wracamy do domu. Wyobraź sobie, jakby na jawie widziałam drogę wiodącą do naszej wioski, wysadzoną topolami, i nasz śliczny modrzewiowy kościółek na górze. Zdawało mi się, że słyszałam, jak kościelny dziadek z całych sił dzwonił na Anioł Pański, więc przyspieszyłam kroku, żeby się nie spóźnić i szłam tak prędko, nie zważając na żadne przeszkody, że przeleciałam prawie ponad kościołem, nad ogrodem, nad chatami i stanęłam na wprost naszej chatki, na której progu siedziała, modląc się...

— Nie, nie! nie mów dalej! — przerwał jej Piotruś drżącym głosem; — czyż warto mówić o czemś, co tylko snem jest i pozostanie?

— Ale to już jest szczęściem chociaż śnić o rodzinnej wiosce! — rzekła Basia.

— Ale potem za to jeszcze przykrzej, jeszcze tęskniej robi się na sercu.

— A jednak, gdybyśmy mogli powrócić na przyszłą wiosnę?

Piotruś nie odpowiedział, a Basia ciągnęła dalej:

— Przecież znowu nie jest to całkiem niemożliwe.



Gdybyśmy mogli zebrać do tej pory z jakie dziesięć rubli, toby już nam wystarczyć mogło na drogę, o kawałku chleba, byle dojść, byle wrócić! A przecież mieliśmy już prawie tyle, kiedy ja zachorowałam.

— Dziesięć rubli! — powtórzył Piotruś machinalnie, i jakby myśląc o czemś innem. — Co ty mówisz, Basiu, o dziesięciu rublach?

— Mówiłam, że tak dużo pieniędzy potrzebaby nam było, żeby wrócić do domu. Ach, jakbym chciała mieć dziesięć rubli!

(d. c. n.)

### SZARADA.

ułożyła Szarotka.

*Pierwsze, w nauce śpiewu wyraża się gamie,  
Drugie z trzeciem, znajdziecie w wielorakim stanie,  
Są i w dworku dziedzica i w kmiotka stodole,  
Potrzebne są gosposi, biorą go też w pole.  
Zaś wszystko w karnawale często podawane,  
Przez dorosłych i dzieci ogólnie lubiane.*

### ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Marynia Tyszkiewiczówna

Z następujących sylab: dy—ra—na—o—ba—e—so—ło—  
a—rat—wilk—wa—dra—ba—le—tna—ga — ułożyć 8 wyrazów,  
których początkowe litery złożą imię kilku królów z rodziny Pia-  
stów. Znaczenie wyrazów: 1) Rzeka zalewająca kopalnie w Ol-  
kuszu. 2) Rzeka w Niemczech 3) Rzeka w Syberyi. 4) Wulkan  
w Europie. 5) Ptak nocny. 6) Część rośliny. 7) Góra w Azji za-  
chodniej. 9) Zwierzę drapieżne.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

#### Łamigłówny sylabowej:

1) Neptun. 2) Idrya. 3) Euklides. 4) Czardasz. 5) Hastings.  
6) Arbuz. 7) Jodla. 8) Żnin. 9) Yeddo. 10) Jędrzejów. 11) Ery-  
wan. 12) Sawanny. 13) Ej. 14) Timbaktu. 15) Kolumb. 16) Ira-  
wadi. 17) Lelewel. 18) Agrypina. 19) Toast.  
Niechaj żyje setki lat  
Nasz szanowny jubilat.

Szarady: Po—wa—ga.

### Skrzynka do listów.



**Neci.** Nie mogłam ci wcześniej odpisać, bo list twój przy-  
szedł na ostatnią chwilę. Czasami przy odgrywaniu komedijek  
można zmienić rolę chłopca na dziewczynkę, lub przeciwnie, sto-  
sownie do liczby dzieci, biorących udział w przedstawieniu. Czy  
dobrze bawiłaś się podczas świąt i czy się udało przedstawienie  
amatorskie?

**Panu Po.** Na premium roczne może córeczka pana wybrać  
jedną z książek, których tytuły pomieszczone są w pierwszym  
numerze r. z. Miejscowi abonenci odbierają premium w Re-  
dakcyi naszej; tylko zamiejscowym wysyłamy pocztą.

**Dobre rozwiązania łamigłówny na cześć Sienkiewicza nade-  
stali:** Rycerz błękitny, Tadeusz Gros., Zygmunt Mysł., Orzeł  
i Mania K., Manusia i Szymuś Rein., Lilijka z Chmielnej, Woły-  
niak z nad Słuczy i Zbyszko. Ten ostatni oraz Sokół z nad Wi-  
sły podali nowe łamigłówny własnego układu.

Jakże to ładnie miła **Gospoziu z Wyszogrodzkiej ziemi**, iż  
utrzymujesz swe pisma i książki w należyтым porządku. Ład we  
wszystkiem co nas otacza, to pierwszy warunek przyszłego dobro-  
bytu. Ponieważ zbieram karty, z przyjemnością pomieszczę mię-  
dzy niemi tę, którą mi obiecujesz z Genewy, tę, której pragnąłeś,  
już ci wysłałam. W zamian za twoje życzenia, szlę ci również ser-  
deczne od siebie i Redakcyi.

I te kilka słów, które skreśliłeś do mnie, **Tadziu Gros.**, miłe  
mi są, tem więcej, że do obszerniejszej korespondencji brak ci  
czasu. Niechże cię ten Nowy Rok i nowy wiek darzy wszelkiem  
powodzeniem.

Zrobiłaś mi prawdziwie miłą niespodziankę swym listkiem  
**Jagódka z pod Nowo-Radomska** tem miłą, że nie zapomnienie, lecz  
tak piękna praca do kościółki była przyczyną twego dłuższego  
milczenia. Równocześnie jednak zmartwiłaś mię wiadomością  
o swej chorobie, choć pocieszam się, że to pewnie nic groźnego,  
i że ten Nowy Rok, z którym życzę twemu rodzeństwu i tobie  
wszelkiego dobra, przepędzisz zdrowo, jak przystało prawdziwej  
Jagódce.

Musiłaś **Turkaweczko** zasłużyć sobie u pani Gwiazdki na  
szczególne łaski, skoro cię tak szczerze obdarzyła; domyślam  
się, że twoja pilność w naukach wiele się do tego przyczyniła. Do-  
nieś mi, gdy znowu znajdziesz wolną chwilę, jak wam się udało  
przedstawienie komedijki, a przyjm nawzajem me życzenia  
noworoczne.

Dawniejsze twoje listy, o których wspominasz **Polska dziewczecz-  
ko**, nie doszły mi stanowczo, bo inaczej jakżeby mogła zosta-  
wić cię bez odpowiedzi? Nowy twój pseudonym podoba mi się  
bardzo, i bezwzględnie odpowiedniejszym jest dla pani, któ-  
ra już z takim zamiłowaniem czytuje poważniejsze książki. Gdy  
będziesz miała czas i ochotę napisz mi znowu słów parę, a nie-  
chaj ci we wszystkim powodzi się jaknajlepiej z tym Nowym  
Rokiem.

Serdeczna wasza pogawędka, **Irenko i Tadziu G.**, nie mogła  
mię znudzić, owszem odczytałam ją z zajęciem i chciałabym bar-  
dzo, aby ten pierwszy list był zapowiedzią wielu następnych.  
Może też kiedy Tadzio, obok swych myśliwskich wycieczek, znaj-  
dzie chwilę na własnoręczne napisanie do mnie listu? A jeżeli  
z taką przyjemnością odgadujecie łamigłówny, spróbujcie też jaką  
nową ułożyć.

Dziękuję ci **Topolko z Krasnego**, że zaraz w pierwszym liście  
tak dobrze zaznajomiłaś mię z sobą, i tą piękną miejscowością,  
którą zamieszkujesz, a o której znasz tyle szczegółów z przeszło-  
ści. Listy twoje będą mi zawsze mile, mego ostrego sądu  
najnieśluszniej się obawiasz; toż ja wasza życzliwa i szczerza przy-  
jaciółka, a nie żaden sędzia surowy.

Że **Biały Kruk** lubi swego psa i że z nim chętnie się bawi,  
nie zdziwiło mię wcale, bo i ja psy lubię bardzo. Radzę ci wszak-  
że **Kruczku** pewną z nim ostrożność, skoro cię już kilka razy od-  
ważył się ukąsić. Na zapytanie, jakie powieści będą drukowane  
w tym roku w „Wieczorach” znajdziesz odpowiedź w prospekcie,  
który niezawodnie odebrałaś.

Bodaj miłego i bardzo pilnego korespondenta zyskałam  
w tobie, miły **Zbyszku**, gdy zaraz z pierwszym swym listem nade-  
staleś rozwiązania i nowe łamigłówny. Cieszy mię, że z takim  
zajęciem czytujesz nasze „Wieczory” i życzę ci powodzenia  
w naukach.

Niesłusznie mię obwiniasz, kochana **Australio**, o rozmyślnie  
zamilczenie na twoje listy, dowodem odpowiedź w ostatnim numerze.  
Zapewniam cię więc raz jeszcze, że serdeczna twoja koresponden-  
cja jest mi zawsze miłą, a wiadomości, których mi udzielasz, zaj-  
mują mię szczerze. Sokoła pozdrow, a sama przyjmij życzenia  
w dalszym ciągu samych piątek na cenzury

Jaskółka.